Rocznik 1. Kraków 15-go stycznia 1909. Nr. 1.

# ŚWIATŁO

czasopismo powieściowe i popularno-naukowe
wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

**Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi:**
w AUSTRYI na **rok: 4** korony — **półrocznie: 2** korony. —
Do NIEMIEC na rok: **4** kor. **50** hal. — Do AMERYKI na rok: **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

## Słowo od wydawnictwa!

W miejsce *Naszej Skarbnicy*, która z końcem zeszłego roku (1908) przestała wychodzić jako czasopismo *), zaczynamy wydawać, w Imię Boże, inne pismo tj. *Światło*.

Jaki jest cel tego pisma, jaki jego program, łatwo to poznać z treści artykułów, mieszczących się w tym pierwszym numerze.

Sama już nazwa pisma wskazuje, że naszym zamiarem jest wnosić światło do rodzin chrześcijańskich, rozumie się światło prawdziwe, które wynika z prawd Bożych, a nie jakieś błędne ogniki fałszywych nauk wylęgłych w mózgach tegoczesnych niby-mędrców, a właściwie półmędrków.

Chcemy szerzyć zdrową i prawdziwą naukę, tak świecką jako i religijną, ale katolicką a podawaniem budujących przykładów uszlachetniać serca.

Dla dobra więc bliźnich, dla dobra Kościoła i społeczeństwa pragniemy pracować; sądzimy przeto, że katolicy wszystkich stanów poprzeć nas winni, prenumeru-

*) *Nasza Skarbnica* wyjdzie w tym roku jako osobna książka (rocznik 3-ci) i kosztować będzie: 1 koronę.

jąc *Światło* i drugich do prenumerowania tego pisma zachęcając.

Pracujmy wspólnie, bo dzisiejsze czasy wymagają koniecznie jak najwięcej pism katolickich i jak najgorętszego ich poparcia i rozszerzania.

---

# Z NOWYM ROKIEM!

Przepłynęło, przeminęło znowu dni niemało,
A z niedoli, z czarnej doli, co było, zostało.
Nie zagoił rok miniony wielkich ran narodu,



Nowy Rok.

Nie napoił ust spragnionych, nie zniweczył głodu.
Nie osuszył łez co płyną w Ojczyźnie wiek drugi,
A z niedoli sznur się wlecze — i ciężki i długi.
Rok za rokiem, szybkim krokiem, przemija, przepływa
Nasza dola, czarna dola, zawsze nieszczęśliwa.
Zawsze leży nam kamieniem smutek ten żałosny,
Że nam jesień wciąż i zima, a nie widać wiosny.

Ale jakże ma zaświtać zorza odrodzenia,
Jeśli naród swego życia cnotą nie odmienia,
Jeśli wielu życie prześpi, wśród czterech ścian domu,
Ani słyszy, ani pyta, jaka krzywda komu.
Jeśli wielu o tem myśli, jakby grosze zbierać,
A na cele prac oświaty nic nie dać, nie wspierać,
Jeśli serca tu są zimne — a pycha króluje,
Jakże naród się z niedoli łańcucha rozkuje!

Przeżyć życia kawał wielki bez prac dla współbraci,
Toż to zima, ciągła jesień, nie sieje, lecz traci.
A nam trzeba orki wiosny, nam złotego siewu,
By nie było winy z tego, ni Bożego gniewu,
Kiedy przyjdą łata pracy, lecz pracy wytrwałej,
Kiedy zejdzie zgoda, miłość, wśród Ojczyzny całej.
Kiedy naród życie swoje szeroko rozwinie,
Wtedy zorza wiosny, szczęścia, nad nami wypłynie.

Bo rok jeden dla Ojczyzny pracy poświęcony
Więcej może dać zasługi i lepsze dać plony,
Niźli dziesięć lat przeżytych, lecz tylko dla siebie,
A ten wielki, kto pracował na Ojczyzny glebie!

Bracia nasi, splećmy dłonie do pracy i trudu
I dla chleba i dla zgody i oświaty ludu!
A da Pan Bóg, iż dni nasze nie miną bez plonu,
I wyczyścim wszystkie chwasty z polskiego zagonu...
A niech pracy naszej ciężkiej błogosławią Nieba,
Oto parę głównych życzeń, czego nam potrzeba.

---

## Nasi przewodnicy w wędrówce życia.

Wędrowiec pewien z dalekiego kraju za nadejściem nocy znalazł się pod lasem obszernym; nie mógł ani się cofnąć, ani się zatrzymać; rad nie rad musiał las przebywać pośród ciemności.

Kiedy już miał zapuścić się w straszliwą puszczę, spostrzegł starego pasterza i zapytał o drogę. — Niestety! — rzekł mu pasterz, — nie łatwo ci ją wskazać. Las po-

przecinany jest tysiącznemi ścieżkami, które krzyżują się, zwracają, bardzo podobne są do siebie, a wszystkie, wyjąwszy jedną, prowadzą do przepaści.

— Do jakiej przepaści? — zapytał wędrowiec.

— Do przepaści opasającej las. I to nie wszystko jeszcze — mówił dalej pasterz. — Las nie jest bezpieczny, jest bowiem pełen zbójców i zwierząt drapieżnych. Między innemi ogromny wąż straszne tam klęski roznosi. Rzadki jest dzień, w którymbyśmy nie znaleźli szczątków nieszczęśliwych podróżnych, którzy się stali jego pastwą. Tymczasem jednak las ten koniecznie przejść trzeba, aby się dostać tam, dokąd dążysz.

Wzruszony litością, osiadłem na brzegu tego niebezpiecznego miejsca, które podróżni przebywać muszą, aby ich ostrzegać i bronić. W pewnych odległościach znajdują się synowie moi, którzy temi co ja uczuciami ożywieni, pełnią takiż obowiązek. Ofiaruję ci moje i ich usługi — i jeżeli chcesz, będę ci towarzyszył.

Szczerość, malująca się na twarzy staruszka, ton prawdy, tchnący w jego słowach, wzbudziły zaufanie w wędrowcu, przyjał więc ofiarowaną usługę. Pasterz wziął jedną ręką lampę i włożył w mocną latarnię, drugą wziął podróżnego za rękę i razem puścili się w drogę.

Po niejakim czasie wędrowiec uczuł, że mu zaczynają omdlewać siły.

— Oprzyj się na mnie — rzekł mu wierny przewodnik. Wędrowiec wsparty szedł dalej. Po drodze wstępował do małych domków, gdzie znużony odpoczywał i prostemi potrawami pokrzepiał swe siły. W dalszą drogę prowadził go już od pierwszego domku nie ów pasterz — ale towarzyszyli mu synowie jego, którzy w tych właśnie domkach mieszkali — i tak szedł noc całą.

Pierwsze światełko jutrzenki rozjaśniało horyzont, kiedy stanął bez przygody na końcu niebezpiecznego lasu. W tej chwili poznał całą wielkość przysługi, jaką mu okazał pasterz i jego synowie. Otworzyła się bowiem przed jego oczami ogromna przepaść.

— Oto, — rzekł mu przewodnik — przepaść, o której ci wspominał mój ojciec; niewiadoma jest jej głębokość, zawsze gęsta mgła ją pokrywa, a oko przejrzeć jej nie zdoła.

To mówiąc, westchnął głęboko, i otarł sobie ręką dwie duże łzy spływające po twarzy.

— Czemu smutny jesteś? — zapytał go wędrowiec.

— Jakże nie mam być smutny? Czyliż mogę patrzeć na tę przepaść, nie pomyślawszy o tylu nieszczęśliwych, którzy codziennie w niej giną? Nadaremno mój ojciec i my ofiarujemy im usługi nasze, lecz mała tylko liczba je przyjmuje. Większa część, przeszedłszy kilka godzin pod przewodnictwem naszem, obwinia nas, żeśmy ich niepotrzebnie nastraszyli; gardzą naszemi radami, opuszczają nas. Lecz wkrótce zabłąkawszy się, giną nędznie; albo ich wąż pożera, albo zbójcy mordują, albo przepaść pochłania. Do jej bowiem przebycia służy jedynie ten mostek, który mamy przed sobą — a my jedni tylko wiemy drogę do niego. Idź po nim śmiało, — rzekł obracając się do wędrowca, i ściskając go czule, — na drugiej stronie już jest dzień zupełny, tam Ojczyzna twoja.

Wędrowiec, przejęty wdzięcznością, podziękował litościwemu przewodnikowi, obiecał, że nigdy nie zapomni o nim, a przyspieszywszy kroku, przeszedł mostek. W kilka godzin potem odpoczywał już rozkosznie na łonie swej najukochańszej rodziny.

* * *

Zapewne wszyscy drodzy Czytelnicy dorozumiewają się, co oznacza powyższa historya. Znaczenie jej samo się przed oczy nasuwa. Wędrowcami jesteśmy wszyscy na tej ziemi. Ten las, jest to świat, jest to życie, które przebyć mamy. Zbójcami są wrogowie naszego zbawienia; ogromny wąż, który robi tyle spustoszenia, to szatan; — ciemna i bezbrzeżna przepaść, to piekło; wszystkie ścieżki, przerzynające las w rozmaitym kierunku, są to drogi, niestety, zbyt liczne, wiodące do nieszczęścia wiekuistego; jedyna ścieżka, która prowadzi do mostku, jest to wązka droga do nieba.

Litościwym pasterzem, który czeka u wnijścia do lasu i podaje rękę i lampę wędrowcowi, jest Jezus Chrystus, Boski Pasterz, który zstąpił z nieba na ziemię, aby wspierać i oświecać każdego człowieka przychodzącego na świat. Synowie, pomagający litościwemu pasterzowi w miłosiernym

obowiązku, są to kapłani Chrystusowi, a lampa gorejąca w ręku pasterza i jego synów jest to pochodnia Wiary, która według słów Pisma świętego: «jaśnieje jako świeca w ciemnem miejscu świecąca».

Jak ów wędrowiec bez przewodników i bez lampy nie byłby przeszedł przez las, lecz byłby niechybnie zginął, tak i każdy człowiek, chcący się dostać do niebieskiej Ojczyzny, powinien iść za Chrystusem, za jego kapłanami i za światłem Wiary katolickiej, bo Wiara nasza daje nam poznać cel życia i drogę do tego celu wiodącą. Człowiek bez Wiary, bez religii, błąka się na tym świecie, nie wie po co żyje, a nie znając celu swego życia, nie stara się żyć tak, aby dojść kiedyś do szczęśliwej wieczności.

Tylko więc pod przewodnictwem Boskiego Pasterza Jezusa Chrystusa i pod opieką Jego kapłanów, a przy świetle Wiary świętej, może człowiek szczęśliwie przejść przez to życie i dostać się tam, gdzie wieczna radość panuje.

Dlatego powinniśmy trzymać się silnie tych przewodników i słuchać ich nauk, ich przestróg i rad, bo w tych naukach i radach nasze dobro, nasze zbawienie!

Wiary też świętej strzeżmy w sercach naszych jako oka w głowie, a zwłaszcza strzeżmy jej w czasach dzisiejszych, bo nieprzyjaciele Wiary katolickiej usiłują zniweczyć ją, by ludzi zrobić niedowiarkami, bezbożnikami i unieszczęśliwić ich teraz i na wieki.

Miejmy się na baczności przed takimi zbójcami, którzy chcą zabić dusze nasze i nie słuchajmy ich mów, nie czytajmy ich pism. Bezbożnych agitatorów, czy to socyalistycznych, czy radykalnych, czy im podobnych. unikajmy jako zarazy, bo oni są wysłannikami piekła, sługami ducha ciemności, który nie pragnie przecież naszego dobra i szczęścia — tylko zguby wiecznej.

# POPIEL I PIAST.

## Powieść historyczna z IX. wieku.

Przed tysiącem lat ziemia nasza wcale inaczej wyglądała, aniżeli dzisiaj. Zajmowały ją odwieczne, olbrzymie

lasy, pełne dzikiego zwierza; gęste zarośla, moczary i bagniska rozciągały się na milowych przestrzeniach, pól i łąk było niewiele. Ale też i ludzi było mało i dla każdego miejsca znalazło się podostatkiem. Nie mieszkali oni razem, nie zakładali miast i wsi, ale gdzie kto znalazł kawał pola, łączkę wśród lasu, budował chatę, otaczał ją parkanem z grubych drzew i gałęzi i żył w odosobnieniu i cichości ze swą rodziną.

Ziarna na chleb dostarczała uprawa roli, mięsa i futer zwierzyna, mleka bydło — którego można chować było niemało, tyle paszy dawały lasy i łąki.

Mieszkańcy takich zagród, porozsypywanych pośród lasów, rzadko widywali swoich sąsiadów. Działo się to tylko wtedy, gdy się zbierali w miejscach świętych w dnie uroczyste, lub dla wspólnej narady nad sprawami ziemi. Święte miejsca bywały albo w głębi lasów, lub też na wysepce jakiego jeziora. Tam budowano świątynie swoim bogom — a byli wtedy Polanie jeszcze poganami — których strzegli kapłani, powszechnie szanowani przez cały naród.

O sprawach rodzinnej ziemi radzono na wiecach, które zbierały się na rozległych błoniach, pod gołem niebem. Przewodził tym wiecom książę, a wszyscy ziemianie mieli głos. Naturalnie tylko starsi i poważni mówili, bo młodzież umiała szanować włos siwy i niktby się nie ośmielił starszym przewodzić lub sprzeciwiać.

Zresztą cicho na tej ziemi było i spokojnie. Lud był pracowity; każdy pilnował roli i domu, do oręża nikt się nie porywał, chyba w obronie ziemi, lub własnej.

Dawniej tu było jeszcze lepiej, ale odkąd źli sąsiedzi zaczęli napadać na nasze zagrody, porywać ludzi, rabować dobytek, trzeba było więcej myśleć o obronie i nieraz porzucić pług na roli, a spieszyć z oszczepem i kamiennym młotem nad granicę, odpierać wrogi najazd. Wtedy po całym kraju zapalano wici na wysokich drzewach i pagórkach, a kto żył, spieszył na wojnę. Przewodził na niej książę, który otaczał się strażą, wojskiem, aby mieć zawsze w pogotowiu bodaj garstkę zbrojnych na pierwszą chwilę napadu. Odtąd też kneź miał nad krajem większą władzę, a ziemianie mu ją przyznawali, jako obrońcy wszystkich i ciężko zapracowanego dobytku.

Od dawnych już czasów, po śmierci księcia następował najstarszy syn jego, a młodsi bracia, ba, nawet stryjowie i wujowie, musieli mu być posłuszni. Taki zwyczaj przyjęto i uszanowano, a kneź nigdy krzywdy nie robił ni krewnym swoim, ni narodowi. Naród zaś, złożony z wolnych kmieci, otaczał swego księcia poważaniem, bo każdy rozumiał, że bez niego naród to tak, jak rodzina bez ojca. Prawo też nakazywało szacunek dla knezia, który na wojnie sam wszystkim rozkazywał, ale w czasie pokoju musiał radzić wespół z kmieciami na wiecach.

Taki był porządek w ziemi naszej, kiedy kneziem jej został po śmierci ojca młody jeszcze Popiel.

* * *

W odwiecznym lesie dębowym, w którym rzadko chyba co przerywało ciszę, dał się słyszeć tentęt koni i chrzęst łamanych gałęzi. Ptactwo leśne zrywało się z zarośli, ulatując na stronę, wilczysko zaświeciło oczyma i zniknęło w gęstwinie, gdy na skraju małej polanki ukazało się trzech jeźdźców.

Wszyscy trzej byli już niemłodzi, jednemu biała broda spływała na piersi, ale znać było w każdym siłę i nawyknienie do trudów. Siedzieli też na koniach jak przykuci, a konie były wielkie, silne, że zdawało się, pół świata możnaby na nich objechać.

Dwaj jeźdźcy ubrani byli w brunatne opończe, spływające niżej kolan, ściśnięte u bioder skórzanymi pasami, u których wisiały długie, ciężkie miecze. Na głowach mieli wysokie czapki, obuwie zaś z żółtej skóry okręcone było czerwonymi rzemieniami. Jechali przodem. Trzeci zdążał za nimi, a był ubrany kuso i opięto, mieczysko mu także sterczało u boku, w ręku dzierżył kamienny topór, czapkę miał futrzaną, na której widać było cały łeb rysia.

Dwaj pierwsi jeźdźcy zatrzymali się na polance. Jeden z nich spojrzał ku górze.

— Jeszcze nie późno — odezwał się — a do zamczyska pewno niedaleko.

— Zdaje się, alem tu drogi nie świadom, pierwszy raz tędy jadę — odpowiedział siwobrody.

Myśleli chwilę, milcząc.

— Hej Wilkuń! — zawołał starszy.

Trzeci jeździec zrównał się z nimi.

— Którędy teraz mamy się brać do Kruszwicy?

Rozejrzał się dokoła, powęszył niby zwierz i po chwili grubym, jakby z pod ziemi płynącym głosem, odpowiedział:

— Pewno od słońca ku nocy; czuję z tej strony wodę, to ani chybi bagnisko goplańskie.

— A to — zaśmiał się młodszy — na własnej ziemi błąkamy się.

— Nie dziwota, kiedyżeśmy tu byli? Ten dzik Zboisław psami szczuł braci, trudno było napraszać mu się w gościnę.

— Bogom niech będą dzięki, że się przecież pozbył dzikości.

— Pewno, że to łaska, chociaż ja nie bardzo mu dowierzam.

— Podejrzliwy jesteś, bracie Władysławie.

Ów siwobrody, nazwany Władysławem, uśmiechnął się.

— Podejrzliwy, podejrzliwy — mówił jakby do siebie — jak tu nim nie być, kiedy oczy patrzą tyle lat i tyle widziały. Jak tu wierzyć w odmianę dzika w barana?

— A sameś namawiał, żeby do Zboisława jechać w gościnę.

Twarz Władysława stała się jeszcze poważniejszą.

— Niedługo Marzanna (bogini śmierci) zamknie mi powieki, a niech mi to zaraz uczyni, jeśli kłamię, że całe życie pierwszy podawałem rękę do miru. Biada tej rodzinie, gdzie dzieci żyją w niezgodzie i poswarkach!

Młodszy uścisnął rękę Władysława.

— Ucz tak twego syna Zbigniewie, a będzie naszemu rodowi lepiej, niż potąd.

— Oby to bogi sprawiły.

— Ruszajmy w drogę z pokojem i zgodą, bo tam na zamczysku u Popiela także jej potrzeba.

— Pewno, pewno.

Skierowali konie ku północy, jak wskazał Wilkuń, gdy te nagle nastawiły uszy i rozwartemi nozdrzami zaczęły coś wietrzyć.

— Bies czy wilkołak! — zawołał Zbigniew.

Gałęzie gęstego zarośla, ręką ludzką rozsunięte, ukazały ciekawą postać. Był to człowiek wysoki, barczysty, wyższy się jeszcze wydawał w długiej białej opończy; broda biała, jak mleko, spływa mu do pasa. Twarz miał starą, pooraną zmarszczkami, ośmdziesięcioletnią, oczy powiekami przymknięte. W długich kościstych rękach miał gęśl, którą niósł ostrożnie przed sobą.

— Ah, to nasz stary śpiewak Mirosz, który z sobą wszędzie mir i pokój niesie. Witaj nam!

— Kupało niech będzie z wami. Światowid niech wam błogosławi kneziowie moi mili — odezwal się stary, podchodząc do jeźdźców.

— Skąd i dokąd cię bogowie wiodą? — zapytał książę Władysław.

— Od świętego chramu (pogańskiej świątyni) na włóczęgę, od zagrody do zagrody, od kmiecej chaty do kneziowskich dworów, z pieśnią i słowem pokoju.

— Obyś nam dobrym był wróżbą — zawołali obaj książęta.

Mirosz spojrzał na nich.

— Oj tak, tak, potrzeba wszędzie miru, a tam, gdzie wy jedziecie, najbardziej.

— Więc wiesz dokąd jedziem?

— Oczy moje stare cieszą się, widząc kneziowskich stryjów, jadących z mirem od braci.

— Wiesz co stary? — zawołał Zbigniew — jedź ty z nami, Wilkuń odstąpi ci konia, on ma zdrowe nogi.

— Mogę z wami, — odpowiedział Mirosz — ale nie mnie już do konia. Kiedyś, kiedyś jeździłem na boje z wrogami, ale to już dawno. Teraz cała broń moja tą gęśl oto; a za rumaka starczą nogi stare, ale przywykłe do drogi.

Ruszyli w las.

Po drodze kneziowie rozmawiali z Miroszem, który znał całą ziemię Polanów i ludzi wszystkich, a nie rzadko i dalej wędrował, do innych narodów pobratymczych, Słowian braci, co się rozumieli jedną mową i jednym bogom składali objaty (ofiary).

Po dwu godzinach minęli już ostatnie drzewa, a przed oczyma mieli obszerną płaszczyznę, której środek zajmo-

wało wielkie jezioro Gopło. Brzegi od strony lasu gubiłą się w rozległych moczarach, porosłych wyschłą trzciny i sitowiem.

Z poza białych oparów, unoszących się nad moczarami, błyszczała sina powierzchnia jeziora.

W dali, na drugim końcu Gopła, widać było wysoką kamienną wieżę, która zdawała się wychodzić z wody i jak w fali zwierciadlanej przeglądała się w jeziorze. Obok wieży stało wielkie domostwo, ukryte poza wałem, usypanym z ziemi, i ostrokołem z grubych pni.

W tę stronę zdążali książęta z Miroszem i Wilkuniem

Zbliżyli się do głębokiej fosy, która biegła dokoła pod wałem. Most zwodzony z długich mocnych bierwion wiódł przed bramę, w dzień i w noc szczelnie zamkniętą. Na wałach przechadzały się silne, wysokie chłopy, trzymające straż na książęcem zamczysku. Straż książąt znała, więc też na głos ich poskoczyła do bramy, która ciężko skrzypiąc, otwarła się.

Starszy straży pokłonił się kneziom nizko.

Książę Władysław poklepał go po ramieniu.

— Jak się masz Rysiu, zawsze zdrów i krzepki?

Ryś, któremu włos już dobrze siwizna przyprószyła, wyprostował się, jak żołnierz przed wodzem.

— Dziękować bogom, sił nie brak, a choćby dziś pójść walić tych niemych wrogów, co nam nie dają pokoju, tobym poszedł, jak to ongi z naszymi kneziami się chodziło.

— Pójdziemy jeszcze, mój Rysiu, pójdziemy i jak dawniej pobijemy.

— Perkun gromowładny z nami, choćby zaraz! — zawołał Ryś z zapałem i kłaniając się znowu, ustąpił kneziom z drogi.

Konie zostawili Wilkuniowi, a sami szli książęta ku dworcowi Popiela.

Był to budynek nizki, a wielki na wzdłuż i szerz, cały z drzewa zbudowany. Od strony podwórza szło wzdłuż dworca podniesienie na nizkich, mocnych słupach, pięknie malowanych i wycinanych. Pod czarnemi dębowemi ścianami była długa ława do wypoczynku dla gości.

Nikogo tam teraz nie było, tylko dwa psy kudłate wyciągały się leniwo. Na widok przybyłych podniosły łby groźnie, ale wnet łasząc się przyszły do stóp kneziów.

W tej chwili we drzwiach ukazał się mężczyzna mały, krępy, czarno zarośnięty na twarzy, z brwiami krzaczastemi, z pod których błyskało dwoje oczu, niby dwa kawałki palącego się węgla. Miał na sobie opończę białą, szytą w kraśne kwiaty dokoła, w pasie przewiązaną czerwoną taśmą. Obuwie też okręcone było czerwonym rzemykiem i czapka, którą krzywo na głowę nasadził, z czerwonego była sukna i naszywana dokoła złotemi blaszkami. W ręku trzymał obuszek, ale jak tylko gości zobaczył, wnet go cisnął na bok i z otwartemi ramionami witał przybyłych.

— Witajcie mi stryjowie mili! Białe duchy was do mnie sprowadzają.

— Bogowie z tobą i niech ci pokój w dom wnoszą.

— Dwa woły złożę na ofiarę Radegastowi za zesłanie gości takich.

— A my ci zapowiemy jeszcze innych, Bojomir i Zboisław nadjadą niebawem.

— Otwarte na ich przyjęcie podwoje mego domu i serca.

Weszli do obszernej izby. Dokoła ścian obiegały ławy, przykryte barwistem suknem, w pośrodku stał ogromny stół na krzyżowych nogach. Okna małe wychodziły na podwórzec; w głębi było dwoje drzwi do dalszych komnat. Całe urządzenie było proste, ale jak na owe czasy znać było, że to mieszkanie knezia.

Popiel ściskał swych gości raz jeszcze, sadzał na ławie, sam pomagał odpasywać miecze. Klasnął w dłonie i wnet zjawił się we drzwiach mały pacholik.

— Chleba i miodu nam tu dawaj!

Rozmawiali o przygodach podróży. Popiel pytał stryjów troskliwie o zdrowie, o dom i gospodarstwo, a częstował chlebem, mięsem i miodem, sam dolewając do kubków. Stryjowie czasem tylko nieznacznie spoglądali na siebie, jakby się dziwili takiej serdeczności.

— Raczcie się tu mili moi, ja za chwilę wrócę, przywiodę wam żonę moją.

— Sercem będziem radzi ją powitać.

Popiel wyszedł.

Stryjowie spojrzeli na siebie.

— Co jemu się stalo? — zapytał Zbigniew — tak miłym nie widziałem go nigdy.

— Ani ja. Albo nas bardzo potrzebuje — dodał po chwili namysłu — albo też naprawdę się odmienił. Dobrzeby to było.

Wnet wrócił Popiel, wiodąc za rękę kobietę miłej powierzchowności, młodą i strojnie ubraną. Była to żona jego, Adela, córka księcia saksońskiego.

Z oczyma spuszczonemi powitała stryjów ukłonem, milcząc.

— Witajcie, witajcie nam, — przemówił książę Władysław.

— Niech was bogowie zawsze zdrowiem darzą.

— Stryjowie męża mojego mili są zawsze sercu memu — odpowiedziała głosem przyjemnym, w którym znać było cudzoziemkę.

— Nie tęskno! wam do rodzinnego kraju? — zapytał Zbigniew, gdy znowu na ławkach zasiedli.

— Czasem śnią mi się nasze zamki i ojciec mój, ale tu mi jest dobrze.

— Tam u was, jak mówią, inaczej wcale wygląda. Zamki z kamienia budowane, komnaty drogimi wysłane kobiercy, od złota i jasnych kamieni lśnią się stroje — u nas tego wszystkiego wam brak.

— A nasza wiara — mówiła wolno, spokojnie Adela — uczy, że dla męża porzuca się ojca, matkę, dom i kraj i za nim iść trzeba, gdzie on chce.

Na wspomnienie tej wiary (Adela była chrześcijanką) zachmurzyły się czoła stryjów, ale wnet kneź Władysław odezwał się z uśmiechem:

— My tu wszyscy starać się będziemy, abyście bardzo za rodzinnym krajem nie potrzebowali tęsknić. Dajcie nam trochę serca, kochajcie męża i kraj nasz, a my wam będziemy dobrzy, jakby najbliższa rodzina.

Zbigniewowi zdawało się, jakby w oczach Adeli zabłysło coś złego. Ale pewno mu się tylko przywidziało, bo księżna z uśmiechem odrzekła na słowa stryja Władysława:

— Będę się starała być wam jak córka, a wy mi za to ochraniajcie męża i bądźcie mu przyjaciołmi.

— Nigdy inaczej nie myśleliśmy; tak ślubowaliśmy bratu naszemu, kiedy go bogowie do siebie zawołali.

— Dzięki wam! — zawołał Popiel i znowu ściskał stryjów.

Krwawe promienie zachodzącego słońca wdarły się przez nizkie okna do komnaty i rumieńcem oblały twarze biesiadujących. Stryjowie byli poważni i zadowoleni, Popiela twarz poruszała się ciągle, oczy jego biegły ku żonie, która też nieznacznie na niego spoglądała. Zdawało się, że oczami z sobą rozmawiają.

Milczenie zaległo komnatę, gdy przez okno doleciał dźwięczny głos pieśni.

— Co to? — zapytał Popiel.

— To pewno Mirosz śpiewa. Przyszedł z nami.

Popiel porwał się z ławy.

— Dawajcie mi go tu, niech nam stary śpiewa; lubię pieśni jego, bo mi przypominają ojców moich, bohaterów, moje lata młodzieńcze, kiedym się dopiero zaprawiał do koni i broni!

Klasnął w dłonie; pachołkowi, który się we drzwiach ukazał, dał rozkaz, aby przywołał Mirosza i znowu do kubków nalewał.

Wnet zjawił się stary śpiewak z gęślą w ręku. Pokłonem witał Popiela i jego żonę i gości, siwym, bystrym wzrokiem badając wszystkich.

— Hej stary! — zawołał Popiel — przybywaj z pieśnią, niech nam będzie wesoło.

— Niech wam, kneziu nasz, wesołość zawsze towarzyszy, niech nie opuszcza tych progów ani na chwilę.

Popiel podał Miroszowi kubek miodu. Stary kilka kropel wylał na podłogę, na ofiarę bogom, resztę wychylił do dna i kubek na stole postawił. Potem usiadł w rogu komnaty, palcami dotknął strun gęśli, jakby ich tonu próbował, dotykał coraz silniej, aż popłynęła przegrywka smętna, to wesoła, cicha, to znów burzliwa, jak okrzyk wojenny.

Wszyscy słuchali tej muzyki uważnie.

Wreszcie zaśpiewał Mirosz:

«W niebach za stołem
Zasiedli społem
Pomarli nasi ojcowie.
Sławnej czeladzi
Bogowie radzi,
Gośćmi się cieszą Gazdowie.

Godyż tam, gody!
Czerwone miody
W srebrzystych pienią się rogach.
Na cześć biesiady
Śpiewają dziady,
A Lech najbliższy przy bogach.

— Hej wojowniku,
Nasz obietniku —
Bogi doń rzeką wieczyste —
Okrom te gody,
Jakiej nagrody
Chce jeszcze serce twe czyste? —

— Możni bogowie! —
Lech im odpowie —
Gdy słudze radzicie swemu,
Potęgę w boju,
Miłość w spokoju
Dajcie ludowi mojemu».

Twarze stryjów były poważne i uroczyste; na Popiela policzki wystąpiły silne, krwiste rumieńce. Adela trochę zbladła i usta zacisnęła.

Popiel porwał się z ławy.

— Hej, hej! — zawołał — do boju jam zawsze gotów, choćby dziś, choćby zaraz, szedłbym walić wrogów, a bogowie wielcy ze mną będą!

— I pójdziesz, miłościwy panie, — odezwał się cicho Mirosz.

Księżna spojrzała na niego przenikliwie.

— Pójdę, powiadasz, a kiedy i dokąd?

— Kiedy to tylko bogom wiadome, a dokąd, to wie każdy.

Popiel pomyślał chwilę.

— My od lat dawnych jednego tylko mamy wroga, co niby dziki zwierz zgłodniały napada na nasze ziemie. Hej! bogowie, gdyby tego zwierza już raz zgnieść można!

— Zgnieciesz go, panie, aby nas sam nie pożarł — odezwał się znowu półgłosem Mirosz.

— Mów stary, ty coś wiesz, mów, a przez wielkie bogi, mam rękę ciężką i do boju składniejszą, niż do uścisku.

— Cobym miał wiedzieć, — odparł Mirosz — ja mir i spokój śpiewam, do bojowej pieśni jużem za stary. Wiem to, że póki nam sąsiadować z Germany, póty nie będzie spokoju. Oni nas, albo my ich zdławić musimy.

Na białem czole księżnej rysowała się głęboka bruzda gniewu. Usta zaciskała i z oczu zdawała się rzucać pioruny na starego śpiewaka.

*(Ciąg dalszy nastąpi).*

---

# Jerozolima i jej okolice.

**Wspomnienia z polskiej pielgrzymki 1907 r.**

## Wstęp.

«Jeźli cię zapomnę Jeruzalem, niech zapomniana będzie prawica moja; niechaj przyschnie język do podniebienia mego»... (Ps. 136.) Tak niegdyś wołał ze smutkiem Prorok Pański, będąc na wygnaniu w obcej ziemi, zdala od ojczyzny, od ukochanego miasta Jerozolimy. Przypominały mu się wszystkie drogie pamiątki, pomniki świetnej przeszłości, zwłaszcza wspaniała świątynia, w której spoczywała Arka z przykazaniami Pańskiemi. Wszystkie te świętości zostały ręką świętokradzką znieważone, rozrzucone, poniszczone a przecież tem były droższe dla jego serca!... Myślą, wyobraźnią w ukochanem mieście przebywa, o niem zawsze myśli, marzy!...

I dla nas chrześcijan katolików jest Jerozolima drogą pamiątką, miastem ukochanem, świętem! Ileż ona wzbudza w pamięci naszej rzewnych wspomnień? Ileż gorących uczuć i pragnień?... Przecież tu Pan nieba i ziemi w «postaci sługi» ludziom «dobrze czynił», usługiwał; tu

pracował i cierpiał; tu swą Przenajświętszą Krew przelał do ostatniej kropelki; tu dokonał naszego odkupu, umierając na haniebnem drzewie krzyża między dwoma łotrami!...

Dlatego też dobre dziatki Kościoła i wierne sługi Chrystusa często myślą, rozpamiętywają i marzą o tych miejscach świętych, poświęconych obecnością, pracą, potem, łzami i Krwią Przenajświętszą Pana Jezusa. Szczęśliwi ci, którzy mogli je zwiedzić, ujrzeć, uściskać i ucałować!... Dla-



Dziecię Jezus przy pracy.

tego od samego początku chrześcijaństwa wyprawiali się i dotychczas wyprawiają się pielgrzymi i liczne pielgrzymki, by mogły pragnieniu serca swego zadosyćuczynić i uczcić te święte pamiątki.

Do tych szczęśliwych należał i piszący niniejsze wspomnienia, brał bowiem udział w polskiej pielgrzymce, odbytej pod jesień 1907 roku. Zbyt głęboko wyryły się w pamięci wspomnienia z owych świętych miejsc naocznie widzianych i zbyt wielkie wywarły wrażenie, żebym się niemi nie miał z Szanownymi Czytelnikami podzielić!... Pragnę przeto opisać Jerozolimę i jej najbliższą okolicę, to, com widział, o czem słyszałem i czytałem. Przy ważniejszych

miejscowościach dołączę dla całości i lepszego zrozumienia krótki szkic historyczny i zdarzenia, jakie tam się odbyły.

Niech ten opis wyjdzie na chwałę Bożą i na pożytek dusz naszych!

## I. Droga z Krakowa do Jerozolimy.

### 1. Z Krakowa do Jaffy.

Bracia Mniejsi OO. Reformaci w Krakowie, powodowani pobożną myślą uczczenia miejsc świętych, zawiązali komitet z początkiem 1907 roku, celem zorganizowania «pierwszej polskiej pielgrzymki» do Ziemi świętej. W rzeczy samej przyszła ona do skutku pod jesień tegoż roku. Nazywamy ją: »pierwszą polską pielgrzymką». — Nie chcemy przez to wcale powiedzieć, jakoby przedtem nasi pobożni praojcowie nie pielgrzymowali do miejsc świętych. Owszem były pielgrzymki, lecz te pielgrzymki były bardzo niewielkie, małe, kilka zamożnych osób mogło sobie na nie pozwolić; nie znano dawniej kolei, a jazda wozem kosztowna, okrętem również była droga i niebezpieczna. Ludzie ubożsi i mniej majętni nie mieli nigdy szczęścia odbycia pielgrzymki do tak dalekich krajów.

Przyczyniały się do tego i liczne trudności, przeszkody, jakie Turcy pielgrzymom robili.

Lecz z czasem wszystko się zmieniło. Po lądzie można wygodnie podróżować koleją a po morzu bezpiecznie okrętem, również i Turcy pod wpływem rządów europejskich zmienili swe nieprzychylne usposobienie dla pielgrzymów, obecnie nie robią im już żadnych większych przeszkód. Z tych pożądanych okoliczności może każdy korzystać. Stąd też zebrało się wielu polskich pielgrzymów z wszystkich trzech zaborów; liczba ich dochodziła do 480 osób. Była to prawdziwie «pierwsza polska pielgrzymka», gdyż brali w niej udział przedstawiciele wszystkich stanów, zawodów a nawet i wieku! Duchowieństwo było licznie reprezentowane, stanowiło szóstą część całej pielgrzymki (80 osób). Wszystkich pielgrzymów podzielono na pięć grup, aby każda grupa mogła łatwiej, w mniejszej liczbie, zwiedzać święte miejsca. Dla poszczególnych grup wyznaczono przełożonego i jego zastępcę, do których, w razie potrzeby, należało się z swymi interesami zgłaszać.

Dzień wyjazdu z Krakowa naznaczono na 30-go sierpnia o godzinie 5-ej z rana. Już dnia poprzedniego odprawił Najprzewielebniejszy ks. Biskup Nowak, sufragan krakowski, w kościele Braci Mniejszych, uroczystą Mszę świętą na pomyślność pielgrzymki i wypowiedział podniosłe kazanie na temat: «Po co pielgrzymi udają się do Ziemi świętej i o co mają prosić u grobu Zbawiciela». Nazajutrz wczas rano, po skromnem śniadaniu na dworcu, ruszyliśmy specyalnym pociągiem z Krakowa przez Wiedeń do Tryestu. Mimo wczesnej pory zgromadziło się na dworcu wiele osób z przyjaciół, znajomych i krewnych, którzy odprowadzali i żegnali pielgrzymów, polecając się ich modlitwom u Grobu Zbawiciela. Z pieśnią na ustach opuszczaliśmy Kraków.

Po drodze przyłączali się do nas na większych stacyach pielgrzymi z dalszych okolic, którym trudno było przybyć do Krakowa. W czasie podróży śpiewali pielgrzymi, zwłaszcza niewiasty, pieśni pobożne, godzinki, różaniec, co pięknie świadczyło o pobożnym nastroju naszego ludu. Przed drugą godziną po południu przybył pociąg do Wiednia. Tutaj zatrzymaliśmy się przeszło dwie godziny, spożyli obiad i wypoczęli nieco.

Z Wiednia do Tryestu zdążał pociąg przez piękne i malownicze okolice. Podziwialiśmy wielkie winnice, urodzajne pola i wspaniałe góry, przez które często tunelem musieliśmy przejeżdżać. Krajobraz zmienił się bardzo, gdyż wczesnym rankiem ujrzeliśmy dziką okolicę, kamienistą i skalistą, ciągnącą się do samego Tryestu. To Styrya i Kraina, które przejeżdżaliśmy.

Niebawem, po 7-ej godzinie z rana, stanęliśmy w Tryeście, w mieście portowem, gdzie na nas już okręt «Tyrol» od dwóch dni czekał. Nie mieliśmy wcale czasu miastu się przypatrzeć, gdyż okręt miał o 10-ej godzinie przed południem wypłynąć z portu i unieść nas w kierunku południowym na morzu Egejskiem. Na nasze przyjęcie przyozdobiono okręt «Tyrol» w liczne rozmaitej barwy chorągwie i chorągiewki, a wśród nich na najwyższym maszcie powiewała chorągiew Ziemi świętej: pięcioraki czerwony krzyż na białem polu.

Z pewną bojaźnią i trwogą wstępo [illegible]
okrętu, zwłaszcza ci, którzy pierwszy raz dłuższy czas po

dróżować mieli na głębinach morskich. Grzeczna służba okrętowa wskazywała każdemu wyznaczone miejsca i kajuty; inni znosili z dworca kolejowego pakunki i układali na pokładzie okrętu. Niemal każdy z pielgrzymów wysyłał liczne widokówki do swoich ukochanych rodziców, małżonków, dzieci lub przyjaciół. Wreszcie wszystko było ułożone, godzina dziesiąta przed chwilą już minęła, okręt daje po raz ostatni znak do odjazdu. Jedziemy!...

Równocześnie jeden z kapłanów na pokładzie, przy prowizorycznie ustawionym ołtarzu, zaczyna odprawiać Mszę świętą, prosząc Pana Zastępów o błogosławieństwo dla pielgrzymów i o szczęśliwą a spokojną podróż po niepewnej fali morskiej. Z pobożnością i z wielkiem wzruszeniem śpiewaliśmy «Gwiazdo morza», błagając naszą niebieską Królowę, aby nas otaczała płaszczem swej czułej opieki. W czasie całej pielgrzymki towarzyszyła nam figura Najświętszej Panny Niepokalanie Poczętej, którą wzięliśmy z sobą z Krakowa, i biała chorągiew z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej z jednej a świętego Kazimierza Królewicza polskiego z drugiej strony.

Zestawienie na jednej chorągwi «Królowej Korony Polskiej» i świętego polskiego Królewicza nie było przypadkowem, lecz trafnie dobranem, on Jej bowiem codziennie śpiewał: «Póki żyję, niech Maryę, wielbi ma dusza!» Z proporca chorągwi zwieszała się szarfa biało-czerwona ze złocistym napisem: «Pierwsza polska pielgrzymka do Ziemi świętej 30-go sierpnia 1907». To był nasz sztandar religijno-narodowy! To Patronowie nasi i naszej kochanej Ojczyzny i Królowa Korony Polski i Jej wierny sługa święty Kazimierz! Im się polecaliśmy w szczególniejszy sposób w czasie pielgrzymki, a ufność i nadzieja w nich pokładana nas nie zawiodła.

Nabożeństwa użył nasz pobożny lud wiele na okręcie i to codziennie, przez cały czas żeglugi. Były to niejako rekolekcye pięciodniowe, urządzone na godne przygotowanie swej duszy do odebrania obfitych łask boskich na miejscach śwtętych. Rano zaczynali księża już o godzinie 4-ej Msze święte na pokładzie, przy ośmiu ustawionych ołtarzach; kończyły się zazwyczaj o 9 godzinie uroczystą śpiewaną Mszą świętą, po której jeden z kapłanów miał kaza-

nie. Po południu o godzinie 4-ej odprawialiśmy nieszpory (różaniec), po których znów wygłaszano kazania. W czasie Mszy świętej i nieszporów lud na klęczkach otaczał ołtarze, śpiewał pobożne pieśni na pokładzie, odmawiał koronkę, spowiadał się i prawie codziennie przyjmował Komunię św. Nawet wieczorem długo po wieczerzy rozbrzmiewały pobożne pieśni na pokładzie, co służbę okrętową wielce budowało; w ogóle podziwiała ona szczerą pobożność naszego ludu.

Wśród tych zwykłych nabożeństw na okręcie, mijaliśmy szczęśliwie zadowoleni i zdrowi na spokojnem morzu wybrzeża Dalmatyńskie, brzegi Włoch, mniej bezpieczną cieśninę Otranto i od czasu do czasu różne wysepki i wyspy, rozrzucone na morzu Adryatyckiem i Jońskiem, jak Korfu, Itakę, Kefalonię, Lepanto, Zante, Cerigo. W dalszym ciągu przejeżdżaliśmy okok największej wyspy morza Śródziemnego Kandyi czyli Krety. Ma ona przeszło 8.600 kilometrów kwadratowych powierzchni, a 300 tysięcy mieszkańców, przeważnie greckiego pochodzenia. Klimat jest jej łagodny i zdrowy, tylko niekiedy wiatr gorący, siroko, daje się zbyt dotkliwie odczuwać mieszkańcom. Wyspa ta byłaby bardzo żyzną i urodzajną, bo już w starożytności słynęła z doskonałego wina, miodu i oliwy, ale niestety, uprawa roli i pożytecznych roślin pozostawia jeszcze wiele do życzenia.

Przez dwa pierwsze dni żeglugi było morze zupełnie spokojne, a począwszy od cieśniny Otranto, zostawało nieco wzruszone, okręt poczynał się kołysać, co wywoływało, zwłaszcza wśród ludu i niewiast, wcale nieprzyjemną chorobę morską. Stan taki trwał w dalszym ciągu aż do Jaffy.

Jednostajność naszych codziennych nabożeństw na okręcie została urozmaicona ostatniego dnia żeglugi (4-go września) przez uroczyste przystąpienie dziesięcioletniego synka kapitana okrętowego do pierwszej Komunii świętej. W ogóle dnia tego panował wśród pielgrzymów większy nastrój duchowy, większa radość, połączona z pewną ciekawością, gdyż nazajutrz rano mieliśmy ujrzeć Jaffę, pierwsze miasto Ziemi świętej. Usposobienie to jeszcze więcej w nas się spotęgowało, gdy wieczorem okręt oświecono światłem bengalskiem i puszczano ognie sztuczne. Mało kto tej nocy udał się na

spoczynek; już przed godziną 4-tą zebrali się wszyscy pielgrzymi, by wysłuchać wspólnej, jednej Mszy świętej, jaką na pokładzie odprawiono.

*(Ciąg dalszy nastąpi).*

# Trędowaci w Japonii.

Pewien misyonarz katolicki, pracujący w Japonii, opisuje w liście nadesłanym do jednego z europejskich czasopism stosunki japońskie i zwraca uwagę na straszną plagę, nawiedzającą ów kraj wschodzącego słońca, to jest trąd. Trądem tym dotknięci są tam ludzie rozmaitych klas i wieku. Cierpią na tę okropną zarazę dorośli i dzieci, są chorzy, którzy leżą po szpitalach, i tacy, którzy mają swoje rodziny — a wreszcie są i tacy, którzy nie mają nikogo i tych właśnie biedaków spotkać można na ulicach bez żadnej opieki.

W pobliżu miasta Kumamoto jest miasteczko Honmioji; wznosi się tam świątynia pogańska, bardzo licznie odwiedzana przez pobożnych buddystów. Świątynia ta jest miejscem, gdzie gromadzą się wszelkiego rodzaju chorzy, a zwłaszcza trędowaci, którzy napływają tam ze wszystkich stron państwa.

Większość tych nieszczęśliwych — to ludzie znienawidzeni i wypędzeni przez swoje rodziny. Mieszkańcy miasta Kumamoto okazują im jednak dosyć dużo współczucia i dlatego wielu trędowatych osiedla się w poblizkiem Honmioji, gdzie tworzą jedną z najwięcej litości godnych osad, jakie tylko znaleźć można w świecie.

Położenie tych biedaków wzbudza litość i zgrozę. Zamieszkują tam oni nędzne baraki, należące również do ubogich ludzi, którym płacą jako czynsz od 1 do 2 halerzy dziennie. Nie mają oni zazwyczaj na sobie nic więcej, jak jednę tylko koszulę i to jeszcze jaką! «W jednej takiej smutnej norze» — pisze ów misyonarz — «widziałem biedną matkę, która nie miała już nóg, a z rąk pozostały resztki zaledwie: chcąc mnie godnie przyjąć — odziała się starą szmatą, która zakrywała jej zaledwie połowę ramion; resztę

zaś ciała starała się zakryć swojem małem, zupełnie gołem dzieckiem».

Chorzy, którzy mogą jeszcze chodzić, wędrują od miasta do wsi, ażeby użebrać kilka groszy. Wieczorem zaś powracają do Honmioji i tam nocują we wspomnianych powyżej barakach. Niektórzy idą dalej i wracają dopiero po kilku dniach lub tygodniach. Wieśniacy obchodzą się z nimi dosyć łagodnie — lecz nikt nie chce ich wziąć do siebie



Trędowaci w Japonii.

na mieszkanie. To też nędzarze ci sypiają na schodach jakiej świątyni, na otwartem polu albo w lesie na gołej ziemi lub co najwyżej na desce — bez żadnego nakrycia i pościeli.

Tych, którzy już nie mogą chodzić, zanoszą inni na schody, prowadzące do świątyni, gdzie od rana do nocy wołają o litość i błagają pielgrzymów o jałmużnę.

«Chrystus» — pisze dalej ów misyonarz — «nakazał swoim uczniom, ażeby pielęgnowali chorych i oczyszczali trędowatych. I my misyonarze idziemy tą właśnie drogą. Oto zbudowaliśmy już szpital dla trędowatych w Kumamoto i opiekujemy się chorymi. Widzą to poganie i bar-

dzo pochlebnie wyrażają się o naszej religii, skłaniając się coraz to więcej do jej przyjęcia».

Gdy kto z tych nędzarzy umrze — wtedy grzebią go wspólnemi siłami. Kilku silniejszych współtowarzyszy kopie grób; kupują starą beczkę, kładą do niej zwłoki i oddają je ziemi bez żadnych ceremonii i bez księdza. Pogrzeb taki kosztuje jednak około 20 soldi. Skąd wziąć te pieniądze? Każdy z umarłych ma na sobie jakąś resztkę ubrania, którą sprzedają i uzyskują z tego około 10 soldi. Przy barakach są następnie wychodki, których zawartość sprzedaje się okolicznym biedniejszym rolnikom a dochód z tego służy do pokrycia kosztów pogrzebu.

---

# Trochę wyżej — trochę niżej.

**(Zabawne zdarzenie).**

Za dawnych czasów, kiedy to monarchowie niepoznan zwykli przechadzać się między swymi poddanymi, ażeby w ten sposób tem łatwiej módz przekonać się o ich życzeniach, wydarzył się w Monachium, stolicy bawarskiej, następujący wypadek: idący razu jednego na ubocznej ścieżce ówczesny król, zauważył żołnierza stojącego na warcie, który skoro zobaczył kogo tuż przechodzącego, szybko coś ukrywał pod swój mundur. Gdy tedy i król się doń zbliżył, przeraził się żołnierz i ukrył coś w zanadrzu. Ale biorąc króla za najzwyczajniejszego śmiertelnika, nabrawszy otuchy — odezwał się:

— Toście mnie dopiero przepłoszyli, bodaj was!

— Tak? — rzekł król — to zapewne nieczyste masz sumienie?

— Ej tak źle nie jest — odpowiedzial żołnierz — a uważcie tylko, że niedawno dopiero jestem w Monachium i nie znam jeszcze nikogo, a powiadają, że król ma zwyczaj często przechadzać się po mieście jakby pospolity człowiek, bez świty królewskiej i nawet w ubiorze zwyczajnym.

Otóż właśnie smacznie sobie zajadałem, a wiecie, że żołnierzowi na warcie jeść nie wolno, dlatego też ujrzawszy was, spiesznie ukryłem swój kęs pod kabat. Ale teraz

będę spokojnie dalej zajadał, bo mam coś bardzo dobrego, a sądzę, że nikt tak wnet mnie znowu nie nadejdzie.

— O bądźcie spokojni — odpowie król — ale powiedźcie mi też, cóż tak dobrego macie do jedzenia?...

— Więc co? zgadnijcie!

— No — rzecze król — może macie kawałek szperki?

— O, szperka, wyborna rzecz, ale tak wysoko nie sięgam, zejdźcie trochę niżej.

— Macie może sztukę cielęciny — zagaduje król.

— A i cielęcina dobra — odpowie szyldwach — ale i tak wysoko się nie czuję, trochę niżej, zgadnijcie.

— Może szynka (szołdra) — rzekł król.

— A i szynka podoba mi się, ale musicie iść jeszcze niżej.

— O to z pewnością macie kawał sera — powie król.

— A idźcież sobie ze serem — zaśmiał się szyldwach — to co mam daleko lepsze, ale niżej....

— O to pewnie macie rzodkiew — rzekł król, śmiejąc się.

— Zgadliście prawie, ale do połowy, bo dwie rzodkwie mam, jednej nagryzłem nieco, a druga cała, może wam mogę służyć, — a podając ją królowi, rzecze: — nie wstydźcie się, ale bierzcie bez wszystkiego.

— O dziękuję bardzo — odpowiedział król — jedźcie sobie rzodkiew, ja spieszę na obiad i nie chcę sobie psuć apetytu. Żegnam was.

Zaledwie odszedł król parę kroków, zawołał nań szyldwach, resztę rzodkwi dojadając.

— Słuchajcie no panie, podobaliście mi się bardzo, powiedzcie też, kto jesteście, abym wiedział, z kim miałem zaszczyt mówić.

— O — rzecze król — kazaliście mi zgadywać, odgadnijcie teraz i wy,

Szyldwach, ukąsiwszy drugiej rzodkwi, spojrzy bystro w oczy królowi, mierzy go od stóp do głowy i rzecze:

— Toście pewnie kancelista, albo inne jakie gryzipiórko.

— Kancelista coś pięknego — rzecze król — ale trochę wyżej sięgajcie.

— A to może pan asesor.

— I to dobre, ale trochę wyżej.

— A to możeście pan konsyliarz (lekarz)?

— I to nie złe, ale trochę wyżej.

— A to w końcu pan dyrektor?

— I to mi się podoba, ale trochę wyżej.

— Historya podobać mi się zaczyna — rzecze szyldwach — i bardzo się cieszę, mając honor poznać tak wysoko położonego pana, teraz już odgadnę z pewnością, wyście ekscelencya?

— O, ekscelencya, to bardzo piękne, ale trochę wyżej.

— O, toście w końcu chyba królem — wyrzeknie szyldwach — wytrzeszczając nań oczy.

— Zgadłeś — odpowie król.

— Jezus, Marya, Józef — zawoła żołnierz przerażony — toć prędko na miłość Boga potrzymajcie tę rzodkiew, abym mógł zprezentować broń.

I to uczynił król. Szyldwach sprezentował broń i obaj z siebie zadowoleni rozstali się.

---

## Najdawniejsza gazeta.

W Chinach istnieje gazeta w całem tego słowa znaczeniu, a założona w niepamiętnych czasach, prawdopodobnie jeszcze przed 1.500 laty, drukowana od początku swego założenia i wychodząca mniej więcej w ten sam sposób i w takiej samej postaci, jak w pierwszych latach swego istnienia. Jest to gazeta codzienna, urzędowa a nazywa się *Tsing-pao*.

Jak wiadomo, Chińczycy znali sztukę drukarską daleko dawniej od Europejczyków; już w bardzo dawnych czasach wycinali w drzewie całe strony książek i odbijali je na papierze, czcionki zaś ruchome, drewniane mieli już na 400 lat przed wynalezieniem tychże przez Gutenberga w Europie. Ale gdy u nas sztuka drukarska rozwijała się i znaczne czyniła postępy, u Chińczyków do dziś pozostała w tym samym stanie, w jakim pojawiła się przed wiekami.

*Tsing-pao* jest organem dworu cesarskiego, ma charakter «pół-urzędowy» i ogłasza rozporządzenia, które je-

dnak są tylko zawiadomieniami, a nie mają mocy obowiązującej.

Najtrudniejszą jest czynność składania czcionek, gdyż każdy chiński wyraz ma oddzielną czcionkę, co czyni razem około 25 tysięcy znaków. Znaki te umieszczone są w szafach z drobnemi przegródkami. Zecer, czyli składający czcionki, ma kilku pomocników, którym dyktuje nazwy znaków, a ci biegają po korytarzu bezustannie i znoszą co potrzeba do ułożenia stronicy.

Na tak złożoną stronicę i powleczoną farbą, nakłada się jednę po drugiej stronę papieru podwójnie złożonego i przeciąga się po papierze miękką poduszeczką. Odbitki robią po jednej stronie papieru, druga strona pozostaje czysta. Oddzielne arkusze składa się razem i zeszywa jedwabiem od strony rozciętej.

Cały numer gazety wygląda, jak dość gruba książka. Czyta się ją od ostatniej strony, jak pisma żydowskie.

Oprócz *Tsing-pao* wychodzą w Chinach liczne pisma codzienne i tygodniowe i cieszą się wielką poczytnością, bo Chiny mają stosunkowo mało ludzi nie umiejących czytać. Ograniczeń prasowych niema w Chinach wcale, mogą więc krytykować rząd, o ile się komu podoba. Dużo miejsca zajmują w gazetach chińskich ogłoszenia, które redaktorom przynoszą znaczne dochody.

---

## Siła lecznicza światła słonecznego.

Od dawna wiedzą już ludzie o tem, że słońce posiada pewną siłę leczniczą. Przedewszystkiem słońce jest w stanie pobudzić do życia nowe i zdrowe tkanki ciała, przez co ulegają zniszczeniu tkanki stare i chore. Ta własność słońca pozwala często wyleczyć zupełnie wszelkie wrzody, fistuły, czeraki i wyrzuty skórne.

Szwajcarski lekarz Widmer opisuje w pewnem lekarskiem czasopiśmie bardzo licznewypadki, w których udało mu się usunąć w ten sposób wrzody, powstałe wskutek odmrożenia. Osoby, dotknięte takimi wrzodami, wystawiały owrzodziałe miejsca na działanie promieni słonecznych przez dwie lub trzy godziny dziennie, a zazwyczaj po je-

dnym tygodniu wyzdrowienie było zupełne. Że tu pomogły rzeczywiście promienie słońca — przekonywa ta okoliczność, że wrzody, których przez kilka dni nie naświetlano, nie goiły się dalej.

Nu szczególniejszą uwagę zasługuje wyleczenie przez promienie słońca raka skórnego, którego dokonał Widmer. Ośmdziesiąt jeden lat licząca staruszka nie chciała dać sobie operować raka na prawem ramieniu. Dlatego lekarz ów polecił jej przedsięwziąć regularną kuracyę słoneczną. I rzeczywiści już w przeciągu 10-ciu dni ustąpiły całkowiboleści, po dalszych zaś trzech tygodniach miejsce owrzodział zapadło się, a po trzech niespełna miesiącach kobieta była zupełnie zdrową. A więc słońce — to dobry lekarz!

# ROZMAITOŚCI.

## Szkodliwość tytoniu.

W roku 1905 umarło 10 tysięcy chłopców i młodzieńców od lat 12—18 na suchoty. Z tego umarło w Lipsku 200, Bernie 206, Pradze 214, Warszawie 229, Marsylii 231 i t. d. W najwięcej wypadkach przyczyną suchot było palenie papierosów.

## Miasto, gdzie słońce dwa razy na dzień zachodzi.

Na kuli ziemskiej istnieje jedno tylko miejsce, gdzie słońce dwa razy na dzień zachodzi, jest to miasto Leed w Anglii. Tuż koło miasta wznosi się w zachodniej stronie ogromna skała, poza którą słońce kryje się na dwie godziny przed zwykłym terminem. Ciemność wtedy nastaje, zapalają gaz na ulicach i na pozór noc już zapada. Tymczasem po godzinie słońce ukazuje się znowu na czas jakiś, jasność powraca, latarnie gasną i dzień trwa aż do chwili, gdy słońce powtórnie zniknie, tym razem na dobre.

## Francya wymiera.

Z roku na rok liczba śmierci przewyższa we Francyi liczbę urodzin dzieci. Stąd i wojska coraz mniej pod

bronią. W roku 1905 stało jeszczę pod bronią 457 tysięcy żołnierzy, w roku zaś zeszłym było ich już tylko 433 tysiące, a więc 24 tysiące chłopa mniej, pomimo że rząd zaciąga już pod broń, kogo tylko może, nawet młodzieńców, którzy mierzą zaledwie 1 metr 28 centymetrów. Ażeby sobie jakoś radzić, postanowił rząd francuski ściągnąć pod broń krajowców z Afryki i tworzyć z nich osobne pułki, inaczej przestaną Francuzi być groźni dla Niemców i Francya z czasem mogłaby się stać ich łupem.

## Co może być warte jedno drzewo wiśniowe?

W pewnej miejscowości nad Renem (w Niemczech) zaszła potrzeba rozszerzenia dworca kolei żelaznej, a stąd wypadło zakupić przyległy kawałek gruntu, na którym rosło rozłożyste drzewo wiśniowe, rodzące obficie owoce.

Właściciel,. z powodu, że drzewo miało być ścięte, żądał za nie niemniej niż 3.600 marek (przeszło 4 tysiące koron), dowodząc rachunkiem, że z owoców ma przeciętny dochód, wyrównywający procentom od tej sumy. Zarząd kolei nie zgodził się wprawdzie na tak wygórowaną cenę, wypłacił jednak właścicielowi 2.400 marek (3 tysiące koron). Z tego można wnosić, jak wielką być może wartość dobrze prowadzonych sadów, które jednak u nas często bywają lekceważone.

## Olbrzymi zegar.

Nowy Jork (w Ameryce) posiada zegar z tarczą świecącą o 12 metrach średnicy. Zegar ten umieszczony jest ponad olbrzymim domem |jako szyld pewnego Towarzystwa wyrobu mydeł i perfum.

Wskazówka godzinowa tego zegaru ma przeszło 4 metry długości. Obwód tarczy wynosi 36 metrów.

Godziny oznaczone są za pomocą olbrzymich kresek na białem tle tarczy. Pręt wahadła ma dwa i pół metra długości. Zegar bywa naciągany co tydzień.

## Wrażliwość zwierząt na śmiech.

Okazuje się, iż zwierzęta są bardzo wrażliwe na śmieszność, tak przynajmniej można wnioskować z badań, czynionych w wielkim ogrodzie zoologicznym londyńskim.

Pewien orangutang był nader dumny ze swoich faworytów i gładził je z upodobaniem. Raz został tak pokaleczony przez towarzysza, że musiano mu je zgolić. Trudno sobie wyobrazić jego zdumienie i rozpacz, kiedy sięgnąwszy łapą do faworytów, przekonał się, że ta cenna ozdoba gdzieś zniknęła. Widząc, że dozorcy śmieją się z niego, nasrożył się i począł ich szukać. Kiedy zbliżył się do innych małp, przypatrywały mu się zdziwione. a wreszcie odwróciły się od niego. Biedny orangutang stracił apetyt i wkrótce zdechł ze zmartwienia.

Lew na widok dozorcy, który wykrzywia się pociesznie, trzymając się za boki, ryczy i ciska się po klatce. Słoń oswojony, także nie znosi żartów, a i psa można doprowadzić do złości, wyśmiewając się z niego.

## Gorączka u roślin.

Zranione rośliny, podobnie jak zranione zwierzęta, krwawią na swój sposób, a rany roślin tak samo jak u zwierząt, zabliźniają się — co już nieraz każdy z nas zauważył.

Najnowsze badania wykazały, że przy zranieniu rośliny wytwarza się w ich organizmie większa ciepłota, jakby gorączka. Szczególnie cebula jest czuła na zranienie i gorączkuje.

## Staropanieństwo w Europie.

Ponieważ w Europie na 300 milionów ludności liczba kobiet przewyższa o 4 miliony 500 tysięcy liczbę mężczyzn, przeto półpięta miliona dziewcząt skazanych jest z góry na staropanieństwo. Najgorzej te stosunki przedstawiają się na dwóch krańcach naszej części świata: w Norwegii i Portugalii, gdzie na 10 tysięcy mężczyzn przypada 10 tysięcy dziewięćdziesiąt kobiet .

## Szczególny zawód.

W szczególny sposób zarabia w Londynie (stolicy Anglii) na życie pewien stary, bardzo zawsze elegancko ubrany pan, Henryk Bowie, znany ogólnie pod przydomkiem „stary Teodor“. Otóż każdego rana udaje się on na urząd cywilny swojego okręgu, dowiaduje się o ma-

jących tegoż dnia nastąpić ślubach i stawa jako świadek. Zarabia w ten sposób dużo, gdyż codziennie zjawiają się parki, którym brak świadka ślubu.

Występuje wtedy z powagą pan Bowie i za datek pieniężny spełnia czynność świadka. „Stary Teodor“ stawał jako świadek już przy 5 tysiącach ślubów.

## Proroctwo Serba.

Zyje w Serbii chłop półobłąkany, nazwiskiem Michajłowicz, który odgrywa rolę proroka. Serbski ten prorok przepowiedział podobno swojego czasu zamordowanie Aleksandra i królowej Dragi, oraz zabór Bośnii i Hercegowiny, a pisma białogrodzkie podają co kilka miesięcy jakąś wróżbę Michajłowicza.

Obecnie przypomniano sobie, że prorok przy wstąpieniu na tron Piotra Karageorgewicza (obecnego króla) miał wygłosić przepowiednię następującą:

„Następca króla, zamordowanego w Białogrodzie, będzie zmuszony uciekać z kraju. Syn jego zginie na wojnie. A potem obcy ludzie wejdą do kraju“.

Następcą tym jest król Piotr, synem jego książę Jerzy, który tak szaloną agitacyę na rzecz wojny urządza.

## Król dobrze uzbrojony.

Najlepiej uzbrojonym człowiekiem w Europie jest Ferdynand I., król Bułgaryi. Jego sypialnia obwieszona jest wszelaką bronią, na wszystkich krzesłach, fotelach i kanapach leżą pistolety, rewolwery, sztylety, a nawet narzędzia bokserskie. Wnukowi Ludwika Filipa nie brak podobno odwagi, lecz doznaje ciągłego, chorobliwego niepokoju. Pewnej nocy w roku zeszłym cały pałac został poruszony wystrzałami, rozlegającymi się z pokoju księcia, nie przywołał jednak pomocy. Dotąd nie wiadomo, co to było. Ferdynand I. ma wrogów, od których strzeże go pilnie policya. W Sofii jest 430 szpiegów mężczyzn i 50 kobiet, są to po większej części austryacy, dezerterzy. Otrzymują pensye od 100 do 500 franków miesięcznie.

## Śmierć głodowa milionerki.

W Budapeszcie zmarła z głodu niejaka Fanny Waff, właścicielka kilku milionów. Posiadała ona wiele domów,

z których pobierała wysokie czynsze. Mimo to żyła w jednej izdebce, odmawiając sobie nawet najpotrzebniejszych środków do życia. Powodem było skąpstwo.

## FIGLE I ŻARTY.



**Słuszna przygana.** Ej Icku, pocałowałbym was, gdybyście nie cuchnęli cebulą.

— A wy Wojciechu cuchniecie gorzałką, to gorzej.

**Niewierna Tomaszowa.** Mąż nad ranem wraca do domu. Żona pyta, która godzina.

— Pół do dwunastej — rzecze nieśmiało małżonek, a zegar jednocześnie jak na złość wybija trzecią.

— Niegodziwcze! — wrzeszczy — włóczysz się po nocach i jeszcze kłamiesz?

— Żonusiu — mówi podochocony małżonek — więc ty więcej temu klekotowi niż mężowi wierzysz? — Nie spodziewałem się tego.

**Mowa ojca.** Tak moje panienki, czasy są ciężkie powinnyście się postarać jak najprędzej wyjść za mąż i to wszystkie od razu. Rodzina to podstawa społeczeństwa. Co do ciebie zaś mój synu, sądzę, że nie będziesz na tyle głupi, abyś miał się żenić.

---

# Szan. Czytelników,

którym ten numer *Światła* przesyłamy na okaz, prosimy o rychłe nadesłanie prenumeraty, jeżeli chcą otrzymać w lutym numer następny i dalsze. Tylko bowiem tym przesyłać będziemy *Światło*, którzy z góry zapłacą prenumeratę całoroczną lub półroczną.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego